



NIE SAMYM CHLEBEM...

Biuletyn Okolicznościowy

Parafii p.w. Stygmatów św. Franciszka z Asyżu w Bronowicach Wielkich

nr 13

1997

BOŻE NARODZENIE

**„...Światłość rozbłysła
nad ziemią,
żebyśmy i my byli
światłością...”**

Zgodnie z odwieczną tradycją spotykamy się przy wigilijnym stole, przy naszym rodzinnym stole. Po raz kolejny w naszym życiu przeżywamy chwile niewypowiedzianego szczęścia. Najpierw może dlatego, że otacza nas wspomnienie dawno minionych lat dziecińczych, a potem także dlatego, że radujemy się dobrocią, życzliwością i miłością wzajemną.

W stajni betlejemskiej narodził się odwieczny Boży Syn – Zbawiciel świata. I gdybyśmy chcieli najkrócej opowiedzieć, co On nam przyniósł, wtedy odpowiedź byłaby jedna – serce. Św. Augustyn, wielki biskup Hipony i doktor kościoła, mówiąc o Bożym Narodzeniu powiedział: „...Światłość rozbłysła nad ziemią, żebyśmy i my byli światłością...”

Jedna niepowtarzalna noc! Gwiazdy migocą na niebie, a jedna z nich płonie tak jasnym blaskiem, że zdawałoby się, chce dzień uczynić z tej jednej w dziejach nocy. Ubożuchna stajenka spowita łagodnym, choć mocnym światłem, które nie razi oczu, ale przyciąga swą tajemniczą siłą. A w stajence, w wykutym w skale żłobie, ubogie, otulone matczyną dłońią, na garści liści palmowych leży niemowlę. Nad Nim w kornej adoracji pochyłona Matka Najświętsza z uśmiechem i ze łzą szczęścia w oku.

Nad stajenką rozbrzmiewa nieziemską melodią i pamiętne słowa po raz pierwszy wyśpiewane przez Aniołów: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”.

Porywająca prawda – Bóg stał się Człowiekiem, by dzielić z nami radości i smutki ziemskiego bytowania. Jego obecność w dziejach ludzkości wyraża Ewangelia św. Jana: „...Światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła...”

Ciemności trwają nadal, ale jest takie miejsce na tym świecie, gdzie światło pali się i nikt nie potrafi go zgasić. Jest nim Betlejem w ziemi Judzkiej, gdzie



rodzi się Światłość „...oświecająca każdego człowieka...” Każdy może zbliżyć się do Chrystusowego światła, każdy może stać się światłem Chrystusa w swojej rodzinie, w swoim otoczeniu. Wokół Żłóbka stają wszyscy, którzy chcą widzieć prawdę nie jako kolejne hasło, ale jako rzeczywistość. Pozwólmy działać Bogu w naszych sercach!

Zwracając się do siebie wzajemnie z miłością i prawdą na ustach i w sercu, w tę błogosławioną noc i dzień Bożego narodzenia życzymy sobie, aby łaska odnowy, łaska pokoju, radości i umocnienia, którą przynosi Nowonarodzony stała się udziałem naszych rodzin, nas samych. W ten święty wieczór pragniemy w sposób szczególny zjednoczyć się przy wigilijnym stole i przy opłatku. Ten opłatek niech świadczy o wielkiej tajemnicy serc.

Zaiste, Słowo stało się Ciałem i zamieszkało między nami.

o. Jacek Koman

„Noc – ze wszystkich nocy najważniejszą
Noc – ze wszystkich nocy najbogatszą
Wypełnili śpiewami pasterze,
Najubożsi o Bogu świadczą”

(J. Szczawiński, Legenda)



KOLEDA

Nasze przygotowania do świąt dobiegają końca. Czekamy na wieczór wigilijny i na pierwszą gwiazdkę, która da znak rozpoczęcia kolacji. Będą życzenia przy opłatku, puste nakrycie dla niespodziewanego gościa, choinka, a pod nią upominki dla najbliższych oraz kolędy.

Jedną z najczęściej wykonywanych pieśni okresu Bożego Narodzenia jest „Cicha noc”. Kolęda powstała w Austrii w pierwszej połowie XIX w. Słowa napisał Joseph Mohr, katolicki ksiądz z parafii św. Mikołaja w Oberndorf.

24 grudnia 1818 roku przekazał tekst pieśni Franzowi Xaveremu Gruberowi – organście z Arnsdorf, który skomponował muzykę do „Stille Nacht”. Rękopis J. Mohra z 1818 r. zaginął, ale dzięki zapisom kompozytora, zwłaszcza jednemu z nich, datowanemu przez Grubera na 12 grudnia 1836 r., znany jest tekst pieśni, której pierwsze wersy brzmią:

*Stille Nacht! Heilige Nacht!
Alles schläft; einsam wacht
nur das traute heilige Paar
Holder Knab im lockigten Haar
(: schlafe in himmlischer Ruh! :)*

O popularności kolędy świadczą liczne jej przekłady – na około 100 języków świata. W 1873 r. pieśń pojawiła się w śpiewniku amerykańskim. Pod koniec XIX w. dotarła do Anglii, Szwecji, Norwegii.

„W tym czasie chrześcijańscy misjonarze przenoszą ją do Ameryki Płd., Indii, Korei, Chin, Japonii oraz Australii i Oceanii”.

Brak dokładnych danych, kiedy „Cicha noc” pojawiła się w Polsce. Około 1900 r. w Bytomiu, R. Gillar – organista kościoła N. M. Panny wydał „Zbiór melodyi dla użytku kościelnego i prywatnego...”, który zawierał jedynie zapis muzyczny kolędy. W drugim wydaniu z 1903 r. zapisowi towarzyszył tekst jednej zwrotki pieśni:

*Cicha noc, święta noc,
Wszystko śpi atoli,
Czuwa Józef i Maryja
Niech więc Boska ich Dziecina
(: W błogim pokoju śpi :)*

W 1908 r. Gillar i Hoffman (również organista z Bytomia) wydali „Śpiewnik dla ludu katolickiego”, w którym zapisane były dwie kolejne zwrotki kolędy:

*Cicha noc, święta noc,
Tobie cześć chcemy nieść
Boś pastuszkom oznajmiona
Przez Anielskie Alleluja
(: Jezu, witamy Cię :)*

*Cicha noc, święta noc,
Boże nasz, serca znasz
Radość sprawiła nam nowina
Że nadeszła ta godzina
(: W którejś narodził się :)*

Obecnie najbardziej popularna jest anonimowa wersja kolędy z 1910 r., która rozpoczyna się od słów:

*Cicha noc, święta noc!
Pokój niesie ludziom wszem,
A u żłobka Matka święta
Czuwa sama uśmiechnięta
(: Nad Dzieciątka snem :)*

Wigilia tuż, tuż... W ten wyjątkowy wieczór nie może zabraknąć kolęd! Najłatwiej jest wybrać kasety z bożonarodzeniowymi pieśniami i włączyć magnetofon, by tradycji stało się zadość. Owszem, można i tak, ale czy rodzinne kolędowanie nie ma w sobie większego uroku, jekiejś mocy jednoczenia? Niech nasze domy rozbrzmiewają kolędą śpiewaną przez nas samych! Może te święta Bożego Narodzenia będą inne od poprzednich, bo wzbogacone o wspólne śpiewanie?

Iwona Misztal

ŚWIĄTECZNE ODWIEDZINY...

br. Franciszek Wiater OFM

Piszą do nas



Poprzez biuletyn parafialny „Nie samym chlebem...” przychodzę ponownie w „odwiedziny” z pozdrowieniami, radością i życzeniami. Bardzo serdecznie pozdrawiam Ojca Proboszcza, O. Wikariusza, grupy parafialne, dzieci, młodzież, dorosłych i wszystkich bliskich memu sercu. Szczególnie wspomnę tych, których ochrzciłem, udzieliłem I-ej Komunii Św., czy błogosławiłem związek małżeński.

Pozdrowienia przesyłam z Palermo. Kustodia Ziemi Świętej, do której należę, ma również i tu na Sycylii kościół i klasztor. Duży napis w prezbiterium naszego kościoła jakby o tym przypomina: „Miejsce w którym stoisz jest Ziemią Świętą”.

O Sycylii, a zwłaszcza jej stolicy Palermo, w środkach masowego przekazu jest głośno. Myślę, że w Polsce też. Jest to niechlubny rozgłos, bo płynący z brutalnej, a nawet krwawej działalności mafii. Wydaje się, że ta działalność jest bardziej groźna niż ciągle dymiący wulkan Etna. Wobec powyższego zła łatwo można ulec smutkowi. Jednak na co dzień dostrzega się tutaj wiele piękna i dobra. Urzeka wspaniała postawa wielu chrześcijan, zaangażowanie w życie chrześcijańskie, w liturgii, pomoc chorym, życzliwość, uprzejmość itd. Cieszą wspaniałe dzieła pracy rąk ludzkich. Imponujące jest piękno przyrody i plonów ziemi (może zakupione na świąteczny stół mandarynki, figi, orzechy laskowe itp. będą pochodziły z Sycylii). Trzykilometrowa odległość wyspy od łądu Italii czyni ją bardzo dostępną. Stare budowle, wysokiej klasy zabytki mówią o poprzednich narodach i kulturach. Wyspę zamieszkiwali Fenicjanie, Grecy, Rzymianie, Arabowie, Normanowie itd. Językiem urzędowym jest włoski, wielu jednak rozmawia dialektem, gwarą sycylijską.

Na Sycylii są liczne sanktuaria, zwłaszcza Maryjne, które ściągają pielgrzymów. Do niektórych pielgrzymował też Ojciec św. Jan Paweł II. Przypominają o tym tablice umieszczone na ścianach. Sycylia wydała wielu świętych i błogosławionych. Kalendarz

liturgiczny wymienia około 70 świętych, męczenników i wyznawców wyniesionych do chwały ołtarzy. Przy nowym klasztorным kościele nie ma parafii. Są natomiast różne grupy modlitewne: czciciele Matki Bożej Fatimskiej, grupy różańcowe, Świecka Rodzina Franciszkańska (III Zakon), Kawalerowie Grobu Pańskiego, duchowi synowie i córki Sługi Bożego Ojca Pio, zespół młodzieżowy itd. Poszczególne grupy mają Msze św. w ciągu tygodnia (np. we wtorki, czwartki i soboty). Czyciele Matki Bożej Fatimskiej przez cały rok (o godz. 18³⁰) przewodniczą i odmawiają różaniec. Na Msze św. i nabożeństwa przychodzą dość licznie. Zawsze osoba świecka czyta I czytanie, kilka osób przychodzi do pulpitu, by odmówić Modlitwę Powszechną, zbierają również tacę. Jeszcze w żadnym dniu nie zdarzyło się, aby ktoś z osób świeckich nie podszedł do pulpitu, by czytać lekcję czy modlitwę powszechną. To jest normalne zadanie tych, którzy uczestniczą we Mszy św. Odpowiednio przygotowane osoby (zarówno mężczyźni jak i kobiety) zanoszą Komunię świętą do chorych w domu. Niektórzy wierni (ok. 10–20 osób) codziennie w kościele odmawiają z zakonnikami modlitwę brewiarzową (Jutrznię i Nieszpory).

Zauważa się wiele życzliwości. Znajdują też tu pracę (w rodzinach) panie z Polski, jako opiekunki do dzieci czy osób starszych. Na co dzień wiele osób korzysta z Sakramentu Pokuty. To wszystko napawa optymizmem i budzi radość. Radość z tego, że dobro wzrasta, dobro zawsze zwycięża, bo dobro pochodzi od Boga, który jest Najwyższym Dobrem...

Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia. Będziemy śpiewać w kolędzie „Z narodzenia Pana bądźmy weseli...” Całej Wspólnocie Parafialnej, na czele z Ojcem Proboszczem, życzę słowami św. Pawła Apostoła: „Radujcie się zawsze w Panu” (Flp. 4,4). Na Święta Bożego Narodzenia mam pielgrzymować do Betlejem. Zapewniam o modlitwie w miejscu narodzenia się Jezusa Chrystusa Naszego Zbawiciela. Polecam się i Waszej modlitwie.

Niech pokój Chrystusa będzie zawsze z Wami.





„DYŻURNY FELIETONISTA”

Janusz Konik

że miniony rok odchodzi? Kochani, on nigdzie nie idzie, ten nasz rok dziewięćdziesiąty siódmy. Prawda, posunie się trochę, zrobi miejsce dziewięćdziesiątemu ósmemu, ale razem z latami poprzednimi zostanie już z nami na zawsze. Czasem pokłóci się z dziewięćdziesiątym szóstym o jakieś wakacje lub czyjeś narodziny (cóż, skleroza). Raz będzie nas chwalił, częściej jednak wypomni nam to i owo.

Korzystając z długich, jesiennych wieczorów postanowiłem wraz z moim prywatnym „97” zbilansować zyski i straty mijającego roku. Co dotyczy bezpośrednio mnie i moich bliskich pozostawiłem sobie pod rozważenie „w skrytości ducha”, co dotyczy mnie pośrednio zamieszczam poniżej (oczywiście jest to tylko kilka wybranych tematów).

Już niedługo w każdej gazecie zobaczymy następujący rysunek: mocno przygarbiony starzec, z długą siwą brodą, z szarfą na której widnieje cyfra 1997 patrzy z politowaniem na uroczym uśmiechniętego bobasa. Bobas też ma szarfę, może troszeczkę przydługą, na szarfie cyfra 1998. Tak przyjęło się obrazować noworoczną zmianę warty. I wszystko byłoby w porządku, i starzec, i bobas-optimista, i wielce znacząca wymiana spojrzeń, tylko dlaczego przyjęło się uważać,

Sport

Oczywiście, piłka nożna. Gdy rozpoczynały się eliminacje mistrzostw świata zewsząd słyszałem następującą opinię: Oto mamy niebywałą szansę, wszak w naszej grupie są dwa bardzo mocne zespoły (Anglia i Włochy), a wszyscy wiedzą, że gdzie dwóch się bije tam trzeci korzysta. Może przysłowa są mądrością, ale nie naszą. W naszym przypadku to przysłowie powinno brzmieć: Gdzie dwóch się bije, to znaczy, że bije trzeciego. Milczeniem pomnę fakt, że dokopała nam również Gruzja.

Kultura

Kraków. Spektakl, który miał być wydarzeniem sezonu, na dużej scenie Starego Teatru (mowa o „Fauście” Goethego w reżyserii Jerzego Jarockiego), w rzeczywistości był fantastycznym środkiem usypiającym ze stosunkowo mało groźnymi skutkami ubocznymi. Te skutki uboczne to ból

„W KRAINIE CHOCHOŁA”

8 listopada 1997 r. w „Galerii nad Wisłą” odbył się wernisaż, po którym nastąpiło oficjalne otwarcie wystawy prac Jacka Sieka, absolwenta Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Zaintrygowana (ze zrozumiałych względów) tytułem wystawy „W krainie chochoła” postanowiłam skorzystać z zaproszenia, żeby zobaczyć „swoją” krainę oczami artysty. Był jeszcze jeden powód, który zachęcił mnie do odwiedzenia galerii. W ciągu kilku październikowych dni, byłam świadkiem tworzenia bronowickiej rzeczywistości na pastelowych akwarelach.

A początek tej „przyjaźni” z Bronowicami był prozaiczny. Pierwszy obraz, jaki namalował p. Jacek Siek był wykonany na zamówienie. Oczarowany jednak okolicami Bronowic, znalazł tu artystyczne natchnienie na znacznie dłuższy czas. Dzięki temu powstała cała kolekcja obrazów.

Kilkanaście akwareli rozwieszonych na ścianach „Galerii nad Wisłą”, to Bronowice – Wielkie i Małe – takie jakimi postrzega je artysta i jednocześnie

człowiek „z zewnątrz”. Mieszkaniec Bronowic, w sposób dla siebie nieoczekiwany, może na nowo odkryć tak dobrze znane mu miejsca. Pastelowe plamy częściowo ograniczone wyraźnie zarysowanymi liniami, wydobywają bronowickie krajobrazy, a wśród nich: „Rydłówkę”, dawną bursę szkolną przy ul. Ojcowskiej i dworek przy ul. Radzikowskiego (budynki obecnie zajmowane przez Instytut Farmakologii PAN), chatę pamiętającą być może czasy Wyspiańskiego. Oprócz architektury p. Jacek chętnie malował motywy przyrodnicze – sielankowy krajobraz łąk, snopy zbóż poustawiane na polu pokrytym ścierniskiem, albo tchnący tajemniczością zagajnik.

Bronowice w obrazach artysty są bardzo ładne. Postarajmy się więc, aby rzeczywistość nie okazała się mniej barwna, zwłaszcza przez niedopuszczanie do zaśmiecania pobliskiego lasu i okolicznych, niestety, często już nie uprawianych pól.

Beata Chochół

w krzyżach, bo jak wszystkim wiadomo, fotele w teatrze były, są i będą niewygodne. Zawsze i w każdym teatrze. Wracając do przedstawienia, to uratował je diabeł... a poważnie mówiąc Jerzy Trela w roli Mefistofelesa oraz Dorota Segda w roli Małgorzaty. Niestety, nietrafionym pomysłem było obsadzenie w tytułowej roli Jerzego Radziwiłowicza (choć aktorą tego bardzo lubię i cenię). Nie wiem co się stało panu Radziwiłowiczowi, ale przez cały spektakl tak niemożliwie gulgotał, że przed zagubieniem w tym czterogodzinnym przedstawieniu uratowała mnie wcześniejsza lektura tekstu sztuki.

Państwo

Po wysłuchaniu i obejrzeniu fragmentów expose premiera Buzka zobaczyłem podążającą w kierunku mównicy posłankę P. Nie odszedłem od telewizora, gdyż byłem ciekaw jak oceni wystąpienie pana premiera osoba, która jeszcze do niedawna była za (w sejmie poprzedniej kadencji posłanka P. należała do UW), a obecnie jest przeciw (w sejmie obecnym posłanka P. reprezentuje SLD). Oj, zbeształa ci ona pana premiera, zbeształa. Takie jej święte prawo i powinność, żeby besztać, gdy uważa, że besztać należy. Wszak jak mówią: krowa tylko nie zmienia poglądów, a cokolwiek by o pani posłance mówić, to z krową jej pomylić nie sposób. Mnie jednak zastanawia jedno. Jak czują się ci wszyscy, którzy kiedyś zaufali pani P. i głosowali na nią, gdy jeszcze głosiła wartości, które teraz neguje.

Państwo – Kościół – Konkordat

Sejm poprzedniej kadencji. Debata nad ratyfikacją konkordatu. W kierunku mównicy podąża posłanka Izabela (moja ulubiona posłanka). Wsparła dłoń o mów-

nicę, powiodła wzrokiem po sali i zakrzyknęła:

Nie dopuszczę!... Następnie wyjaśniła: do czego i dlaczego. „Póki żyję (tu nasunął mi się pewien pomysł) bronić będę suwerenności naszego kraju” – zakrzyknęła i zdawać się mogło, że za przykładem Rejtana u drzwi sejmowych legnie i braci poselskiej (gdyby nie po jej myśli głosowała) do domu nie puści. Ujął mnie ten zryw patriotyczny, ale co to? Patrząc na dłonie naszej Emilii Plater anno domini '97, a na nich odciski od drzewca, na którym ongiś krwisto-czerwona szturmówka powiewała. To jakże to, tośmy wówczas wolni byli, żeś wtedy na szafcu nie stanęła? To tamten w czerwieni bratem naszym był, a ten w bieli ciemniejszy? Oj, grozi to schizofrenią droga Izabelo..., ale to już ogródek doktora Jarosza.

☪

Kilka spraw, na pewno nie wszystko, co wydarzyło się w mijającym właśnie roku. Ze wszystkim negatywnym, co takie rzeczy zapamiętuje się łatwiej. Poza tym, ze wszystkiego, od teatralnego spektaklu po telewizyjną reklamę, można wyciągnąć dla siebie naukę.

Przy wigilijnym stole, gdy już przebaczymy sobie wszystkie winy, złożymy najbliższym ży-

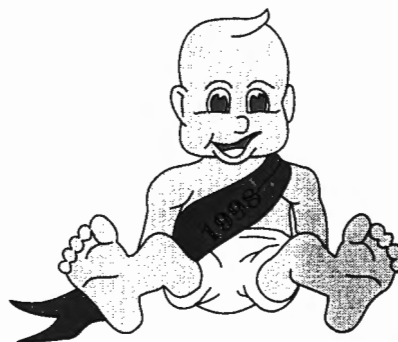
czenia, zabronimy dzieciom wyjadać opłatki, nim jeszcze sięgnie my po karpia, znajdziemy tę krótką chwilę, by się zastanowić, czy nasz prywatny '97 w sylwestrowy wieczór będzie nas przyjaźnie klepał po ramieniu, czy odwróci się od nas plecami.

Jeżeli, pomimo zbliżających się świąt, nie poskapimy czasu i szarych komórek, to '98 przywita nas z uśmiechem i w tak sympatycznym nastroju zostanie z nami na zawsze.

Od Redakcji

Drukujemy powyższy tekst, bardzo zaangażowany w sprawy polityczne, niejako tytułem eksperymentu – chcąc dowiedzieć się co Państwo szczerze sądzą o takiej próbie, daleko wykraczającej poza utrwalaony profil naszego pisma.

Felieton zwiera podane w lekkiej, kpiąco-zartobliwej formie, poglądy autora, z którymi można się zgadzać lub nie, natomiast nie powinno się ich mechanicznie przypisywać naszej redakcji.



*Redakcja pragnie złożyć Wszystkim Państwu
najserdeczniejsze życzenia radosnych i pięknych
Świąt Bożego Narodzenia,
spędzonych w bliskości z Bogiem,
pełnych wzajemnej życzliwości i miłości
oraz wewnętrznego spokoju.*

*Gorąco namawiamy starszych do wspólnego kolędowania
przy wigilijnym stole z młodzieżą i z dziećmi.*

Niech nie upada ten piękny obyczaj.

*Do zobaczenia w Nowym, oby jak najlepszym
dla nas wszystkich, Roku – w kolejnym numerze naszego pisma.*

ZDROWIE

Alkoholizm – choroba alkoholowa



Na początku należy odróżnić alkoholizm będący chorobą, rodzajem narkomanii, od pijaństwa. Alkoholizm – choroba powstała w następstwie nadużywania alkoholu – charakteryzuje się trwałymi zmianami psychicznymi i fizycznymi w zakresie różnych narządów, a cechą szczególną jest niemożność kontrolowanego spożywania alkoholu po wypiciu przystawionych 2–3 kieliszków, co jest wyrazem uzależnienia. Pijaństwo natomiast, to nadmierne co do ilości i częstości spożywanie alkoholu, bez cech uzależnienia. Stąd, najogólniej mówiąc, bierze się różne społeczne podejście do zachowań alkoholika i pijaka; alkoholik wymaga leczenia, a pijak odpowiednio surowej oceny i napiętnowania. O ile uzależnienie od narkotyków rozwija się bardzo szybko i praktycznie u wszystkich stosujących narkotyki, o tyle alkoholizm (choroba alkoholowa) rozwija się po okresie kilku do kilkunastu lat picia u kilkunastu zaledwie procent pijących. Nie do końca wiadomo, dlaczego u części pijących rozwija się alkoholizm, a inni pozostają pijakami, aczkolwiek istnieją tu niewątpliwie uwarunkowania genetyczne. Dużo większe jest prawdopodobieństwo stania się alkoholikiem, jeśli w rodzinie występował wcześniej problem alkoholizmu.

Alkoholizm rozwija się poprzez picie towarzyskie: „na frasunek dobry trunek” i objawowe, kiedy to występujący u alkoholika w okresie trzeźwienia po ustąpieniu „kaca” zespół abstynencyjny, objawiający się stanami rozdrażnienia, przygnębienia, depresji, często z myślami samobójczymi, zaburzeniami snu i in. skłania do wypicia, po którym alkoholik doznaje przejściowej poprawy, a równocześnie zamyka błędne koło. Należy uświadomić sobie z całą otwartością, że alkoholizm jest chorobą śmiertelną: wcześniej czy później prowadzi do śmierci, czy to bezpośrednio po nadmiernym spożyciu alkoholu, czy pośrednio, w następstwie marskości wątroby, udaru mózgu, niewydolności krążenia, padaczki, psychoz alkoholowych, czy też wypadków w stanie upicia. Jedy-

nym wyjściem z tej krytycznej sytuacji jest zachowanie pełnej abstynencji od wszelkich napojów alkoholowych, bowiem z alkoholizmu nie można się wyleczyć. Alkoholikiem zostaje się na całe życie. Stąd w klubach anonimowych alkoholików uczestnicy mówią o sobie: „jestem alkoholikiem, który nie pije 2, 5, 10 lat”, lecz jestem alkoholikiem.

Leczenie z nałogu w celu doprowadzenia do trwałej abstynencji jest długie, trudne i obarczone możliwymi przejściowymi niepowodzeniami. Nie jest prawdą, że z rozwiniętej choroby alkoholowej można się wyrwać samym „wysiłkiem woli”. Podkreśla to z całym naciskiem pierwszy z „dwunastu kroków anonimowych alkoholików”, w którym stwierdza się: „przyznaliśmy, że jesteśmy wobec alkoholu bezsilni i, że przestaliśmy kierować swoim życiem”.

Leczenie z nałogu składa się z dwóch części: 1) z leczenia biologicznego (odtrucie oraz leczenie skutków nałogu, takich jak np. choroby wątroby, serca, mózgu i in.), 2) leczenia psychoterapeutycznego mającego na celu poznawanie przez alkoholika swojego „wnętrza”. Alkoholik bowiem jest człowiekiem skrycie zakłamanym, wypierającym się swoich problemów i nie przyznającym się do nich. Kontynuacja tej drogi, to uczestnictwo w klubie anonimowych alkoholików, w którym trzeźwiejący alkoholik znajduje zrozumienie i wsparcie w powrocie do człowieczeństwa.

dr Józef Jarosz

Od redakcji

Problem alkoholizmu dotyka naszą społeczność broniwicką od lat. Ludzie powoli umierają na naszych oczach. Niedawno znaleziono w okolicach sklepu ciało zmarłego alkoholika w stanie zupełnego rozkładu. Są obecni codziennie na przystankach, w sklepach, na rogach ulic. Śpią w stodółach, latem w ogrodach. Jeżeli są alkoholikami, to już nie można im pomóc, zwłaszcza jeśli sami tego nie chcą. Ale może część z nich to pijaczkowie, których można jeszcze uratować. Jak wynika z tekstu p. Jarosza jest to możliwe poprzez surowe potępienie i napiętnowanie pijaństwa. Powinny to czynić przede wszystkim ich rodziny, ale nie tylko. Patrzą na nich nasze dzieci idące do szkoły, słuchają ich bełkotu i przekleństw. My najczęściej omijamy ich z daleka, niektórzy są niebezpieczni. A policjanta (tzw. dzielnicowego) w Bronowicach Wielkich nie było chyba od wielu lat. Czy taka instytucja w ogóle istnieje?

Kronika



☪ ☪ ☪

3 listopada – Córki świętego Franciszka z Florencji otworzyły prywatne przedszkole przy ul. Sosnowieckiej 12. Ich obecność i praca w duchu Zgromadzenia daje nam możliwość wychowywania od najmłodszych lat naszych pociech w chrześcijańskiej wrażliwości i miłości.

23 listopada – Uroczystość Chrystusa Króla. Na Mszy świętej o godz. 10³⁰ do Liturgicznej Służby Ołtarza zostali przyjęci nowi ministranci. Życzymy im, aby to wyróżnienie mobilizowało

ich do dalszej i owocnej służby Bożej przy Ołtarzu Pańskim.

30 listopada – Nowy rok liturgiczny rozpoczęty! Adwent, to odwieczna tęsknota za Bogiem, bardziej lub mniej świadoma – tkwi w każdym z nas. Bo chcemy, czy nie chcemy, wierzymy w to lub nie – nic nie zdoła przekreślić tej prawdy, że stworzeni zostaliśmy dla Boga i miotają nami ciągle niepokoje. Jesteśmy głodni Boga, chociaż tak do końca nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Do grona Dzieci Bożych – przez sakrament Chrztu św. zostali włączeni: Artur Antoni Kiełkiewicz (15.11.97), Aleksandra Anna Kwinta (29.11.97), Paulina Karolina Szumiec (29.11.97), Kamil Rafał Klimkowski (29.11.97), Marcin Marek Wójcik (6.12.97), Artur Gryźlak i Krzysztof Gryźlak (6.12.97).

☪ ☪ ☪

Do wieczności odeszli – Antonina Katarzyna Staniek (30.10.97), Katarzyna Jarosz (11.11.97), Piotr Gąsiorek (21.11.97), Adam Michał Partyka (25.11.97).

przygotował: o. Jacek Koman

Sprawa płyty pamiątkowej ku czci o. Eugeniusza Krajewskiego

Przedmiotem spotkania Rady Duszpasterskiej, które odbyło się 28 listopada 1997 r., był wniosek dotyczący ufundowania i wmurowania w naszym kościele płyty pamiątkowej ku czci niedawno zmarłego wieloletniego proboszcza parafii i budowniczego naszej świątyni – O. Eugeniusza Krajewskiego. Propozycja ta spotkała się z życzliwym przyjęciem ze strony O. Prowincjała, który chętnie wyraził na to zgodę. Dyskusja skupiła się więc na kwestiach natury praktycznej – oceny i wyboru projektu oraz wykonania wspomnianej tablicy.

Ustalono też przewidywany termin jej uroczystego poświęcenia i wmurowania: o ile nic nie stanie na przeszkodzie, w niedzielę 5 kwietnia 1998 roku odamy wspólnie cześć naszemu dawnemu Proboszczowi, żarliwemu Duszpasterzowi i Wychowawcy młodzieży, który złotymi zgłoskami zapisał się w dziejach parafii w Bronowicach Wielkich. Program uroczystości związanych z tym podniosłym aktem jest w trakcie opracowywania.



Niech ta tablica będzie widowym znakiem naszej pamięci, szacunku i gorącej wdzięczności dla dokonania nieodżałowanego o. Eugeniusza w służbie Chrystusowi i jego wyznawcom.

Skład Redakcji: Beata Chochół (red. techniczny), Adam Fałowski, Barbara Gierat, Ryszard Gurbiel, Iwona Misztal, Monika Piaskowska, Kazimierz Sikora (red. odpowiedzialny)

Adres do korespondencji: Kazimierz Sikora: 31-354 Kraków, ul. Pasternik 78 (lub bezpośrednio na adres Kościoła: ul. Ojcowska 1)

Z dziennika wędrowca – ALPY

„Naturalnie, nie każdy może wspiąć się na Mount Everest. Bo i po co? Może odkryje coś innego. Jakąś formułę. Jakieś dzieło sztuki. Może nawet samego siebie.

Ilu jednak było już Hillarych i Tenzingów, którzy nie znaleźli drogi na swój szczyt tylko dlatego, że nie wierzyli dostatecznie mocno? A może jutro jakiś prawnuk wikingów podczas swojego niedzielnego popołudniowego spaceru popatrzy na wodę rzeki, która prowadzi do morza, i pomyśli, że następnego dnia musi iść do biura. Bo to jest jego życiowy program. Bo sam tego chciał.

Czy naprawdę chciał? Wraca zrezygnowany do domu, do telewizora, na którego ekranie chce zdobyć to, co stracił w rzeczywistości: wolne morze, dalekie nieznanne brzegi...

Kurt Diemberger „Góry i partnerzy”

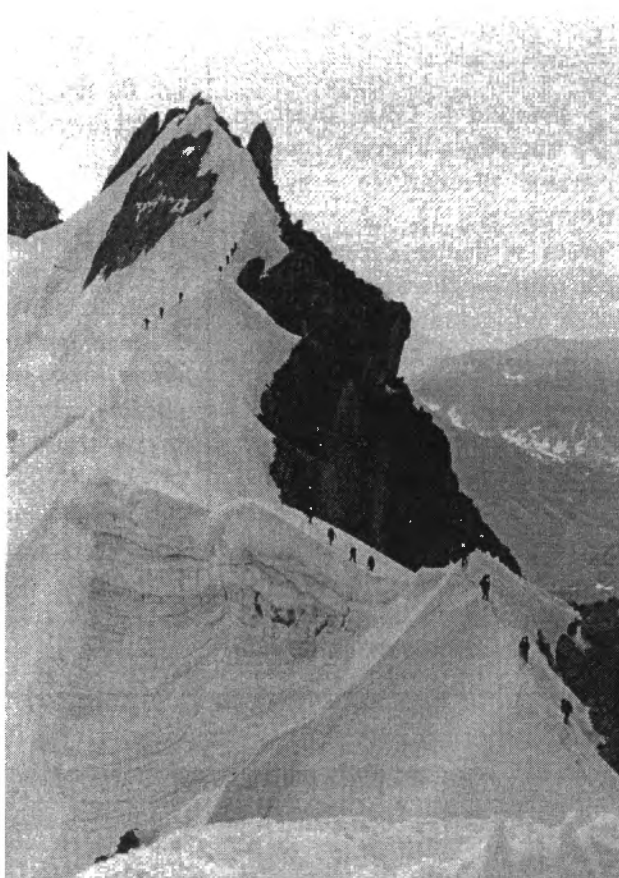
Grań Rochefort

„Jedną z najwspanialszych wypraw w masywie Mont Blanc jest trawers Grani Rochefort, powietrznego, śnieżnego grzebienia ciągnącego się z Col des Grandes Jorasses do Dent du Geant. Karkołomnego, wzbudzającego dreszczyk emocji spaceru po jej lodowym ostrzu, zawieszonym 4000 metrów nad ziemią, nie da się porównać prawie z niczym. W skład grani wchodzi...” – wciąż tkwiące w pamięci słowa przeczytane przed wyjazdem w przewodniku-albumie stają się zrozumiałe wraz ze wznoszeniem się kolejki linowej, łączącej Courmayeur z Rifugio Torino. To właśnie wspomnienia Karla Błodiga z trawersu Rochefort i czarno-białe zdjęcie olbrzymich nawisów przyczyniły się, że tu jestem.

Przylepiam nos do szyby wagonika. Grań widać już wyraźnie. Ta skała z lewej strony to Geant – pamiętam ją ze zdjęć. Na prawo, nieco z tyłu – Jorasses. Gdzieś w oddali rysują się Alpy Penińskie z Matterhornem i Monte Rosa. Wszystko lśni bielą śnieżnych nawisów i lodowców.

Wagonik kolejki powoli wpelza do wykutej w skałach stacji. Ciemnymi, mokrymi schodami wychodzę na taras schroniska. Liny, raki, czekany oraz ich właściciele wygrzewają się w popołudniowym słońcu. Ściągam „garba” i siadam na ławeczce z widokiem na Brenvę.

Do zmroku zostało jeszcze parę godzin. Idę za małe wzniesienie skąd widać całą Valle Blanche i drogę doprowadzającą do „mojej” grani. Właściwie to nie ma drogi. Są tylko jakieś ślady prowadzące przez pole śnieżne do szczeliny brzeżnej lodowca. Dalej tylko mało przystępne skały. Wyciągam lornetkę – nic nowego. Samotne wspinanie się „trójkowymi” drogami na 4000 metrów może się okazać nieszczególnym pomysłem... „Dalsza przyszłość – lepsza



Grań Rochefort w masywie Mont Blanc (fot. G. Kreiner)

przyszłość” – myślę sobie radośnie i pogwizdując (być może nieco fałszywie) zabieram się za rozbięcie namiotu i jakąś kolację. Trochę się zagapiłem: moje upatrzone miejsce na namiot jest już w cieniu i trzeba mocno kuć czekanem w stwardniałym śniegu. Namiot ma jedną poważną zaletę – jest bardzo lekki. Jest to jego jedyna zaleta.

Dziewiąta wieczór. Leżę w śpiworze ubrany we wszystko co mam. Moja terimata o grubości jednego milimetra dobrze sprawdza się w Beskidach ale nie powyżej 3500 metrów na lodowcu. Przed następnym wyjazdem chyba będę musiał zmienić parę rzeczy w moim zminimalizowanym ekwipunku... Wyglądam przez uchylone wejście do namiotu – co za widok! Słońce dawno już zaszło jednak iglica Geant i „moja” grań wciąż świecą czerwono. Na niebie powoli przybywa gwiazd. Jest mroźno – to dobry znak: pogoda powinna się utrzymać.

O czwartej rano sznur światełek sunie ze schroniska w kierunku grani. Jest jeszcze całkiem ciemno. Słychać tylko chrzęst raków na zmarzniętym śniegu

i ciche mruczenie prymusa, na którym gotuję sobie kaloryczne śniadanie („wzmacniający” chiński rosołek i dobrze posłodzona kawa). Zaczyna świtać. Jedząc zupkę, przyglądam się jak pierwsze trzy światła dochodzą do zaśnieżonego kominka za szczeliną brzeżną. Zajęło im to dobrą godzinę. Szczelina jest chyba łatwa do przejścia – nawet się przy niej nie zatrzymali. Teraz jednak wyraźnie nad czymś debatują... „Trzeba zacząć działać” – myślę sobie i zabieram się do przepakowania plecaka. Musi być bardzo lekki.

Po kwadransie wszystko jest gotowe do wyjścia. Biegam przez chwilę dookoła namiotu wymachując rękami żeby się trochę rozgrzać, zakładam raki i ruszam na spotkanie przygody. O ósmej jestem już przy szczelinie brzeżnej. Widoczny stąd wyraźnie kominek ma kilkanaście metrów wysokości. Idący przede mną wykuli pewne stopnie. Przy dobrej asekuracji z czekana powinno się udać. Może zresztą podepnę się do jakiegoś zespołu: przede mną kilkoro Francuzów wypakowuje z plecaka linę. Zadowolony z poczynionych obserwacji zabieram się za konsumpcję drugiego śniadania.

Ssssss... pac, pac... – z grani odrywają się maleńkie punkciki i szybko rosnąc zbliżają się do nas. Uskakuję nieco w bok. Niepotrzebnie. Kamienie spadają prosto na grupkę Francuzów będących kilkanaście metrów w przodzie. Jeden z nich nie zdążył uciec. Ma mocno spuchniętą nogę. Pomagam sprowadzić go niżej w bezpieczne miejsce, gdzie będzie czekał na helikopter. Daję mu także *Veramid* z mojej apteczki tłumacząc, że to świetny środek przeciwbólowy. W końcu najważniejszą rzeczą jest wiara w skuteczność leku.

Chwyt na prawą rękę, mały stopień nieco z boku, teraz trzeba się troszeczkę podciągnąć i kolejna półka jest „moja”. Minęły już dwie godziny a grań błyszczy w słońcu wciąż wysoko nade mną. Czasu zostaje coraz mniej. Do tego mikstowa skała jest diabło krucha. Nieee... ten lodospadzik to już przeszkoczę...

— O, la, la! Solo? Molto risicanto, molto risicanto! – słyszę nagle dźwięczne włoskie słowa. Daliby spokój – przecież dobrze wiem, że jest *molto risicanto*!

Lodospadzik obchodzę jednak okrężną drogą po skałach.

Południe. Siedzę na czekanie pod ścianą Geant i patrzę jak dwie mrówki mozolnie wspinają się na olbrzymią rurkę z kremem. To właśnie dobrze znajomy ze zdjęcia widok najefektowniejszego fragmentu grani Rochefort. Śnieżny nawis ma wysokość kilkupiętrowej kamienicy. Dalej też jest ciekawie – ostre grani miejscami zwęża się tak, że można usiąść na niej jak na koniu. Jestem więc prawie u celu. Prze-

ście najciekawszego odcinka grani nie powinno zająć więcej jak godzinę. Idąc samotnie oznacza to jednak, że przez godzinę nie można się ani razu potknąć, zachwiać czy pośliznąć. To chyba trochę za duże wymagania... Jedzona czekolada zupełnie mi teraz nie smakuje.

Obok mnie odpoczywa kilkunastu francuskich alpinistów. Alpinistów? Czy wszyscy Francuzi wspinający się w Alpach muszą być ubrani w jednakowe, ciemnozielone skafandry? Jeden z nich właśnie rozpakowuje plecak: lina, karabinki, termos, rękawiczki i ...pistolet maszynowy. No tak – „alpiniści” okazują się oddziałem francuskich Strzelców Alpejskich mającym właśnie ćwiczenia. Zamierzają przejść granią do Aiguille Rochefort. A co najważniejsze – pozwalają wpiąć się do ich liny!

* * *

Tym razem moja uprząż, raki i czekan wygrzewają się w popołudniowym słońcu na tarasie Rifugio Torino. Czekolada popijana litrem coca-coli (zaoszczędziłem na noclegu) smakuje teraz wspaniale. Pogoda utrzymuje się dalej fantastyczna. Mrużę oczy i staram się wyłowić spośród szczytów na horyzoncie szpiczastą sylwetkę Matterhornu. Obok widać potężny masyw Monte Rosa – to mój kolejny cel. Bliżej spowite lekką mgiełką spoglądają dumnie Jorasses...



Matterhorn w Alpach Penińskich (fot. G. Kreiner)

Wiem, że w przyszłym roku znowu tu przyjadę. Przynajmniej wiem, że tego chcę. Miał rację Rebuffat – „marzeń potrzeba nam zawsze”. Ja też wolę je od wspomnień.

Monte Rosa – Dufourspitze

Olbrzymia piramida Matterhornu ponad dachami Zermatt wygląda rzeczywiście wspaniale. Gdy wszystkie szczyty w Alpach były już zdobyte, ten długo jeszcze pozostawał nietknięty pomimo licznych prób podejmowanych na zmianę przez Carrel'a i Whympera. Pierwszy na szczycie stanął Whymper. Był to dla niego największy wyczyn alpinistyczny ale też największa tragedia: podczas zejścia czterech jego towarzyszy zginęli, spadając w przepaść.

To wszystko działo się ponad sto lat temu. A dwa lata temu dwóch mało znanych „wspinaczy” wyposażonych w narciarskie rękawiczki i czerwone czapeczki próbowało wejść na górę granią Hornli. Doszli do wysokości 3800 m i zawrócili...

Może to dobrze, że wtedy zawróciliśmy...

— Rotenboden – oznajmia konduktor w kolejce na Gornergrat, omiatając spojrzeniem wypchane plecaki niektórych pasażerów. To jedyna stacja, gdzie nie ma żadnego hotelu, pensjonatu czy restauracji. Jedynie drewniana tabliczka przy torach z wypisaną nazwą potwierdza słowa konduktora. Kolejka zatrzymuje się tu tylko dlatego, że stąd najbliższej do zejścia na lodowiec Monte Rosa.

Oczywiście zaczyna padać. Ale to krótkotrwały deszcz – silne wiatry w dniu dzisiejszym powodują, że pogoda zmienia się bardzo szybko. Czasem jest to korzystne, a czasem nie. Po chwili podążam ścieżką w stronę lodowca. Do podnóża masywu Monte Rosa jest całkiem spory kawałek drogi. To ostatnia wielka góra w tej dolinie. Trzeba minąć jeszcze Breithorn, Lyskamm, Castora i Polluxa.

Przy przechodzeniu na drugą stronę lodowca nadchodzi burza. Centrum znajduje się nad Matterhornem po drugiej stronie doliny. Trójkątny szczyt otulają czarne, gęste chmury. Słychać bijące tam pioruny. Nie chciałbym się tam teraz znajdować...

W schronisku pierwsze wrażenie jest bardzo pozytywne. Za ladą ładna blondynka uśmiecha się do mnie i pyta na co mam ochotę (do jedzenia). Oferowane menu bardzo mi się podoba ale szwajcarskie ceny dużo mniej. Na razie płacę za noc i zadowolam się puszką coli.

Tego dnia czeka mnie jeszcze jedna niespodzianka. Z sali obok dochodzą odgłosy rozmowy prowadzonej po polsku. Jeden głos wydaje się dziwnie znajomy... No tak, to mój kolega z klasy zwany przez nas „Pikusiem”. Bardzo miłe spotkanie. Chłopcy zeszli

właśnie ze szczytu. Są pod wrażeniem silnego wiatru i zdradliwych szczelin w dolnej partii lodowca.

Ledwie położyłem się spać, a tu każą wstawać. Do pokoju wchodzi miła dziewczyna i zapala światło. To nie jest już takie miłe – jest przecież pierwsza w nocy! Ludzie powoli się zbierają. Ja postanawiam jeszcze chwilę pospać ale to nie takie łatwe. Dziewczyna jest bardzo przejęta swoją rolą budzenia „wielkich alpinistów” i potrząsa mnie za ramię. Nie wypada odmówić – wstaję.

Wychodzę na taras schroniska i patrzę na niebo. Niby są jakieś gwiazdy ale słabo widoczne. W dodatku w oddali widać nieregularne błyski. Gdybym stał na balkonie swojego domu pomyślałbym, że to tramwaje na pętli na Salwatorze. Tu nie ma jednak tramwajów, a więc to musi być burza. Pozostaje pytanie: zbliża się czy oddala? Zdaję sobie sprawę, że jest całkiem ciepło – od kilku minut stoję przed schroniskiem ubrany jedynie w polar. Normalnie o tej porze szczekałbym zębami z zimna!

„Trzeba zacząć działać”. Wchodzę do środka i przygotowuję sobie śniadanko: morze kawy, jakiś suchy chleb z miodem, visolvit i czekolada. Wszyscy wykazali się nieprawdopodobnym pośpiechem i dawno już poszli. Dwadzieścia po drugiej w nocy wychodzę ze schroniska. Trzeba pamiętać, że schronisko jest położone stosunkowo nisko jak na warunki alpejskie – 2600m n.p.m. Szczyt Monte Rosa ma 4634, a więc w ciągu jednego dnia trzeba pokonać różnicę 2000 metrów tam i z powrotem. Dlatego wszyscy wychodzą tak wcześnie.

Idę najpierw skalnym zębem, później po płatach śniegu. Latarka co jakiś czas niepokojąco migocze i w końcu gaśnie na dobre. No tak, w ramach minimalizacji ekwipunku zapasowe baterie czekają w skrytce na dworcu w Zermatt. Patrzę na zegarek – dopiero trzecia. Czekanie do świtu oznacza rezygnację z wyjścia na szczyt. Wzrok po chwili przyzwyczaja się do ciemności. Próbuję iść po śladach. Kilkaset metrów wyżej płat śniegu kończy się. Jak oni szli dalej? Próbuję nieco w lewo i w górę. Po chwili wychodzę na twarde, zmarznięte pole śnieżne. Lodowiec. Dookoła mnóstwo śladów. Przypinam raki i podążam za jednymi ze śladów, które wydają się być najbardziej godne zaufania. Po kilkunastu minutach dochodzę do strefy szczelin, o której opowiadali chłopcy w schronisku. Staram się bardzo uważnie i dokładnie trzymać śladów moich poprzedników. Nagle czuję, jak moja lewa noga traci oparcie i zapadam się pod ziemię. Wyciągam ręce przed siebie i wbijam czekan. Ostrze zgrzyta po zmarzniętym lodzie, szarpnięcie i... leżę nieruchomo na śniegu. Wszystko trwało nie

dłużej niż dwie sekundy. Szczelina pode mną może być równie dobrze głęboka jeszcze na dziesięć centymetrów jak i dziesięć metrów. Nie mam ochoty tego sprawdzać, zresztą i tak jest ciemno. Ostrożnie „na misia” wychodzę z niej i siadam na śniegu.

Tętno powoli uspokaja się. Przygoda była dosyć emocjonująca, postanawiam więc zjeść drugie śniadanie. Przeżuwając wspaniałą szwajcarską czekoladę, zastanawiam się co robić dalej. W pierwszej chwili myślę o zawróceniu ale zauważam, że przeszedłem już dwie trzecie drogi po najbardziej popękanej części lodowca. W dodatku niebo na wschodzie zaczyna powoli się różowić. Czekam jeszcze parę minut do świtu i ruszam w dalszą drogę. Trzeba będzie jeszcze przejść tędy wracając ale wtedy może poczekam na innych i wepnę się do ich liny. Zresztą: „dalsza przyszłość – lepsza przyszłość”.

Tymczasem okolica staje się coraz bardziej przyjazna. Słońce oświetla początkowo tylko szczytową grań Lyskamm, później sięga Castora i Polluxa. Zauważam, że wyszedłem już całkiem wysoko. Po nocnych przygodach jestem naładowany energią. Idę dość szybko i wyprzedzam dwójkę Anglików, później jeszcze inną dwójkę, co sprawia mi dużo satysfakcji. Przed ósmą osiągam przełęcz Sattel. To już 4300 m npm. Przede mną wznosi się lodowa kopa Dufourspitze – najwyższego szczytu w masywie Monte Rosa. Wiatr staje się coraz silniejszy, co chwilę trzeba wbijać mocno czekan i kuląc się przeczeki-

wać jego dzikie podmuchy. Twardość wygładzonego przez wiatr lodu jest niesamowita, raki ledwie się tu trzymają: można właściwie wbić tylko dwa przednie zęby.

We mgle dochodzę do pierwszego wierzchołka Dufourspitze. Wyjście na drugi (nieco wyższy) przy takim wietrze i oblodzeniu jest niemożliwe. Nikt się na to nie decyduje. Wichura jest tak silna, że nie pozwala nawet na wyciągnięcie z plecaka aparatu. Zresztą i tak jesteśmy we mgle. Czas wracać. Chmury się coraz bardziej, nadchodzi burza. Dookoła wszystko podejrzanie trzeszczy. Przeskakuję przez kolejne szczeliny. Mylę jednak drogę i okazuje się, że jestem w pułapce: stoję na małej wyspie lodu. Przeskoczenie w tym samym miejscu z powrotem jest zbyt ryzykowne, bo trzeba skoczyć „w górę” a szczelina ma metr szerokości. Jest to i tak najwęższe miejsce w okolicy. Muszę poczekać na idących za mną Anglików. Macham rękami – zauważają mnie, podchodzą i rzucają linę. W deszczu i mgle błądzimy jeszcze przez jakiś czas po lodowcu. W końcu znajdujemy właściwą drogę i schodzimy do schroniska.

Po piętnastu godzinach od wyjścia zwałam się na ławkę przed schroniskiem. Monte Rosa jest wprawdzie „moja” ale na razie nie mam nawet siły żeby, rozwiązać i zdjąć przemoczone buty... O wcześniejszych planach zejścia jeszcze tego samego dnia do Zermatt należy szybko zapomnieć.



Wyjście na Allalinhorn w Alpach Walijskich (fot. G. Kreiner)

* * *

Rano budzi mnie dziewczyna sprzątająca pokój. Jest już dziewiąta. Wyglądam przez okno: dzień jest ładny, nad Castorem i Polluxem błękitne niebo. Pakuję się i wychodzę przed schronisko. Ponieważ skończyły mi się zapasy jedzenia wyobrażam sobie, że już jestem po śniadaniu i przystępuję do sjeisty przed zejściem na dół.

— Do you want some coffee? — słyszę nagle dziewczęcy głos z okna nade mną. Pewnie, że chcę! Zwłaszcza w takim towarzystwie!

Dziewczyna ma na imię Irmiona. Mieszka w Bernie, jeździ na nartach, lubi góry. Ma ładne oczy, ładny uśmiech i jest bardzo zgrabna. Może przyjedzie do Polski.

Do Zermatt dotarłem dopiero popołudniu. I tak za wcześnie. Tuż za Rotenboden wszedłem w gęste, ciemne chmury. W Zermatt padał deszcz. Idąc główną ulicą do dworca myślałem, że pewnie mało kto wie o tym, iż tysiąc metrów wyżej świeci piękne słońce.

Piz Bernina

Leżę w namiocie rozbitym w Val Roseg godzinę drogi od Pontresina i myślę nad dniem jutrzejszym. Po zejściu z Monte Rosa przyrzekłem sobie, że więcej nie będę chodził sam na szczyty powyżej 4000 metrów, a Piz Bernina ma właśnie 4069. Ale droga Biancogratem na Berninę należy przecież do najładniejszych dróg alpejskich... Poza tym przyjechanie autostopem z Zermatt do St. Moritz zajęło mi dwa dni czasu... Postanawiam przynajmniej dojść następnego dnia do Tschierwa Hut. Muszę zobaczyć to wszystko z bliska.

Dolina wydaje się ciągnąć bez końca. Białe szczyty masywu Berniny wciąż tkwią daleko na horyzoncie. Jest jeszcze wcześnie, po drodze nie spotykam żadnych ludzi. Na jednej z polan zauważam za to świstaka. Stanął słupka obok norki i przygląda mi się uważnie. Ostrożnie zdejmuję plecak, wyciągam aparat i staram się podejść bliżej. Nic z tego: przenikliwy gwizd i zwierzątko znika pod ziemią. Za chwilę widzę, że wynurzył się z innej nory, kilkanaście metrów dalej. Chyba jednak trochę oswoił się z moim widokiem. Mogę podejść nieco bliżej. Trzask migawki — świstak błyskawicznie chowa się do swojego domku, a ja chowam aparat i ruszam w dalszą drogę. Ciekawe, co taki świstak myśli sobie o mnie?

Z Tschierwa Hut widać wspaniale Berninę z białym ostrzem jej północnej grani — Biancogratem. Ale widać też dojście (właściwie brak dojścia) do grani przez postrzępione seraki lodowca, ostre, skalne wcięcie przełęczy Fuorcla Prievlusa i szczelinę brzezną. Poza tym jest jeszcze jeden prozaiczny fakt:

skończyły mi się fundusze. A nazywając rzecz po imieniu — zabrakło mi pieniędzy. 10 franków i 300 szylingów, jakie mam jeszcze w kieszeni nie jest dużą sumą wzięwszy pod uwagę, że do jedzenia mam tylko paczkę makaronu, przecier pomidorowy, gumę do żucia i visolvit. To znaczy, że chyba czas już wracać...

* * *

— Can you see a rat over there?

— What...a...yeah....This is awful! — dziewczyna podnosi głowę z mojego ramienia i naciąga mocniej koc na siebie. Duży, szary szczur szarpie jakieś brudne szmaty po drugiej stronie ulicy. Jest trzecia w nocy. Razem z Alice i Lisą czekamy na ławce przy Gürtelstrasse na otwarcie dworca Südbahnhof. Dziewczyny podobnie jak ja nie zdążyły na ostatni pociąg. Jutro wybierają się do Budapesztu. Jest z nami jeszcze Richard, do którego należy koc, którym się wszyscy przykryliśmy. On wybiera się jutro na Słowację — będziemy więc jechać rano tym samym pociągiem.

Minuty upływają jeszcze wolniej niż na lekcjach matematyki. Nie chcemy spać, bo dookoła kręci się pełno podejranych typów. No, teraz powinno być już po czwartej — spoglądam na zegarek: trzecia piętnaście...

W końcu nadchodzi świt. Ptaki zaczynają swój poranny koncert, słychać pierwsze tramwaje. Wiedeń budzi się ze snu.

Zastanawiam się, czy po przyjeździe do Bratysławy kupić sobie trzy hamburgery, czy trzy „hot-dogi”...A może jedno i drugie? Tak, to będzie chyba najlepszy pomysł!



Chamonix, Zermatt, St. Moritz, Wiedeń
13–24.07.94

Grzegorz Kreiner